

Premiery w lubelskich teatrach

W TEATRZE im. Osterwy odbyła się polska premiera musicalu Willy Russella „Blood brothers”, co na polski tłumaczy się jako „Bracia krwi”. Widownia odbiera spektakl entuzjastycznie. Roni ży nad losem bohaterów, choć być może powinna raczej zapłakać nad teatrem, któremu, jak wiele wskazuje wkrótce nie dane będzie produkować tak okazałych przedstawień, a przede wszystkim - załkać nad sobą. Wszystko to bowiem, co dziś jest jeszcze w musicalu, jutro może przeskoczyć ze sceny na widownię i pogonić za widzami do szatni.

BRACIA KRWI to jedna z wielu w dziejach Bopowieści w rodzaju: książę i żebrak. Mamy tu dwóch bliźniaków, z których jeden, wobec rozpaczliwej sytuacji matki zostaje oddany w tajemnicy zasobnej acz ubogiej duchowo rodzinie z lepszej ulicy. Ten świat lepszych i gorszych dzielnic, lepszych i gorszych szkół, wakacji, rozrywek i wszystkiego innego odmalowany jest w utworze Russella precyzyjnie i robi wrażenie dość złowieszcze. Życie na kredyt, bezwzględność komorników, egzekutorów długów, o-

znamy z dziesiątków filmów, czy zdjęć dokumentalnych.

To wszystko jest bardzo umowne i musimy wierzyć, że walizki w rękach Lyonsów, to wielka przeprowadzka bogatej rodziny, a słynny magazyn Harrods, to któraś w rzędzie z zamarkowanych kamieniczek. Świat tego musicalu pozostanie zamknięty dla każdego, kto nie zechce „widzieć” czerwonego piętrowego autobusu na scenie, choć tak naprawdę oczywiście go tam nie ma.

OBAJ panowie R. lubią skrajności, nie tylko w pałecie społecznej, ale i charakterologicznej. Stąd wyraziste portrety obu skrajnie różniących się matek. **Anna Magalska-Milczarczyk** bardzo trafnie pokazuje eskalację zaborczości, lęków i kompleksów pani Lyons - matki zastępczej, która jednak nigdy prawdziwą matką być nie umiała, kobiety zgorzkniałej wśród luksusu i rozwibrowanej pomimo stabilizacji. **Teresa Filarska** eksponuje kobiece i matczyne ciepło pani Johnston, która pozostaje uosobieniem matki nawet czuwając z oddalenia i która zachowuje coś z mło-

Matka Angielka

bojętność dostawców i ten świetny epizod, w którym **Jerzy Kurczuk** dyktuje sekretarce jej własne zwolnienie z pracy... brrrr...

NAJBARDZIEJ przejmujący moment sztuki to ten, w którym upośledzony społecznie brat dowiedziawszy się, że uprzywilejowany przyjaciel jest jego wychowanym przez inną rodzinę bliźniakiem, krzyczy do matki: dlaczego nie oddałaś mnie?! Ładunek rozpacz i żalu zawarty w tym jednym okrzyku, w którym rola Mickeya, Jacka Gierczaka, osiąga swe apogeum, sprawia, że choć Russell miał ochotę być Szekspirem lub Sofoklesem, to pozostał jednak Willy Russellem, to jest świetnym badaczem psychospołecznych napięć i uwarunkowań ludzkiej rozwarstwionej rodziny.

Świętość pogwałconych więzów krwi pozostaje już tylko dramaturgicznym spiętrzeniem, skondensowaniem tragizmu potrzebnym do wzięcia we władanie gruczołów łzowych publiczności szturmem. W ideologii chrześcijańskiej wszyscy ludzie są braćmi. Kiedy z biednego domu Johnstonów dobiega lament gromadki dzieci dopominających się o posiłek, rower, cukierka, zabawkę, wszyscy na widowni mają powody czuć się nieswojo.

ANDRZEJ Rozhin, inscenizator tego musicalu od początku do końca, wspierany jedynie muzycznie przez **Teresę Księską** i **Mieczysława Mazurka** rozegrał całą tę historię operując arsenalem skrótów, symboli, metafor. Wspaniale poradził sobie z problemem czasu i miejsca, kreśląc epokowe zmiany w życiu obydwu rodzin jedną sceną, grą światła, kilkoma rekwizytami. Sprzyja mu w jasności przekazu stosowanie reguł i języka dziecięcego świata zabaw i wyobraźni, który wszyscy choć trochę znają i rozumieją. Sceny policyjno-przestępcze - najślubsze chyba u Russella ogniwo - też są tylko sygnalizowane kodem, który

dej dziewczyny nawet pod straszliwym brzemieniem życia. Dwie młode aktorki prowadzą nas w dwa różne zakamarki piekła kobiet. Wielodziejnej Matce Angielce do Matki Polki nie tak daleko i nie na próżno reżyser polecał w telewizyjnym wywiadzie swój spektakl kobietom.

ZKOLEI Mickey i Eddie - bracia krwi - to dwa modele chłopięcego dzieciństwa, dorastania, stawiania się mężczyzną - obydwa odegrane z dużym wdziękiem. O tryskającym energią, a potem złamanym przez życie szalupucie **Gierczaku**, już wspominałam. Z kolei ów oddany Lyonsom brat - **Robert Łuchniak**, to przykład chłopięcej delikatności, żarliwego podziwu dla zuchowatego brata, skrytego entuzjazmu i żądzy przygód, skrępowanej kindersztubą. Jedynie co mają dwaj bracia wspólnego, to brak śmiałości wobec uroczej Lindy - **Joanna Tomasik** - obiektu młodzieńczej miłości obydwu bliźniaków.

Nie sposób jeszcze nie wspomnieć o Narratorze, bo spektakl jest tak skonstruowany, że ani na chwilę o tym uosobieniu Fatum zapomnieć się nie da. **Marek Milczarczyk** udowodnił na premierze, że na antyczny koturn wcale nie musi się wdrapywać, grzmi z pewnością i patosem wyroczni delfickiej, tak że ciarki nie schodzą z pleców. To jego demoniczny song staje się motywem prowadzącym całego spektaklu.

CZY wszystko o czym napisane powyżej tłumaczy wzruszenie i aplauz na widowni? Trzeba dodać jeszcze drobiazg. To jest po prostu melodramat. Najbardziej hołubiony przez widzów gatunek. Miłość, śmierć, tajemnica narodzin, bieda, bogactwo, utracone nadzieje... Ludzie lubią popatrzeć jak przeżywają to inni.

Małgorzata Gnot

KURIER LUBELSKI 1.04.1993.